

B.K. BORISON

An illustration of a man and a woman in profile, kissing. The woman has long brown hair and is wearing a white top. The man has dark hair and is wearing a grey t-shirt and blue jeans. They are holding a large woven basket filled with fresh produce, including strawberries, green leafy vegetables, and yellow and pink daisies. The background is a solid light orange color.

LOVELIGHT
FARMS #3

Layla & Caleb


ENDORFINA

B.K. BORISON

A grayscale illustration of a man and a woman in profile, kissing. The woman is on the left, with long dark hair, and the man is on the right, with short dark hair. They are holding a large bouquet of flowers, including daisies and round flowers, and a strawberry. The text is overlaid on the illustration.

**LOVELIGHT
FARMS #3**

Layla & Caleb



ENDORFINA

*Każdemu, kto dotychczas zadowalał się jedynie okruchami.
Zasługujecie na cały cholerny tort.
I Elizie.*



ROZDZIAŁ 1

Layla

— Jesteś zupełnie inna, niż się spodziewałem.

To naprawdę odważne stwierdzenie pada z ust mężczyzny siedzącego naprzeciwko. Przyjechał po mnie z czterdziestopięciominutowym opóźnieniem, zrugał kelnerki, gdy tylko dotarliśmy na miejsce, wziął dwa drinki (tu cytuję: „Najtańszy burbon, jaki macie”), a następnie zamówił stek, nie zadając sobie trudu, by zapytać, na co ja mam ochotę.

— Och? — Postanawiam docenić tę jego próbę podjęcia konwersacji. Możliwe, że nie jest tak beznadziejny, jak to się na razie wydaje. Widywałam już dziwniejsze rzeczy. Dość wspomnieć faceta, który postanowił zabrać mnie na kolację bryczką. — Pod jakim względem?

Kroję deser na cztery idealne porcje i staram się przybrać minę, która będzie choćby udawać jakieś zainteresowanie. On beka w zaciśniętą pięść i ostatecznie porzucam wszelkie wysiłki.

— Jesteś ładniejsza — wyjaśnia. Przenosi spojrzenie na moje usta i tam je zatrzymuje. — Nie wiedziałem, że tak bardzo się ukrywasz. — Celuje widelcem w moim kierunku. — Twoje zdjęcie profilowe nie oddaje w pełni twojej urody.

Brr! Wsuwam do ust kolejny kęs ciasta. Marakuja z kokosem.

— To pewnie przez te twoje wypieki, no nie? Dzięki ciasteczkom jesteś pulchna we wszystkich właściwych miejscach.

Nawet nie wiem, od czego by tu zacząć.

— Tak. Prowadzę cukiernię.

Mój lokal mieści się na farmie — plantacji choinek, jakieś sześćdziesiąt kilometrów na zachód stąd. Mam też udziały w całej farmie. Spędzam dni na wyrabianiu ciasta, pieczeniu, dekorowaniu i pakowaniu, a wszystko to robię w starej szopie na sprzęt rolniczy, którą wraz z moją partnerką biznesową, Stellą, przebudowałyśmy na piekarnię, gdy tylko kupiła to miejsce. Duże okna ciągnące się od podłogi do sufitu. Podłoga ze starych dębowych desek. Wzdłuż ścian stoją przytulne, intymne budki z poduszkami i kocami. To dla mnie najcudowniejsze miejsce pod słońcem.

Kiedy przychodzę rano do pracy, zapalam światła i nakrywam stoły, to czuję się, jakbym żyła w śnieżnej kuli. Nawet w środku lata, gdy wilgotność jest tak duża, że mam wrażenie, jakbym przedzierała się przez zawieszoną w powietrzu galarete, a moje włosy skręcają się w loczki. Kocham to miejsce. Praca w Lovelight Farms to najlepsza część mojego

dnia, a fakt, że mogę ją wykonywać z dwójką moich najlepszych przyjaciół jest jak wisienka na torcie.

Stella zarządza całym biznesem, a Beckett dba o prowadzenie plantacji. Są najmiłszymi, najukochańszymi ludźmi — oboje w związkach z równie miłymi, uroczymi, pięknymi osobami. Cieszę się ich szczęściem, nawet jeśli ich słodkie związki sprawiają, że w przyпіływie zazdrości mam ochotę wyrzucić cały ten równo ułożony rząd ciasteczek.

O takich romantycznych miłościach się marzy. A ja... A ja jestem tu... z Bryce'em.

Kiedy po mnie przyjechał, nawet go nie poznałam. Nasze małe miasteczko jest położone na uboczu i większość ludzi całkowicie omija Inglewild w drodze na wybrzeże. Kiedy więc jakiś samochód zatrzymał się na podjeździe do mojego domu, pomyślałam, że Bryce przysłał po mnie kierowcę z Lyfta. Ale kiedy opuścił szybę i krzyknął: „HEJ, LAYLA”, poznałam go i jak oczadziła wsiadłam do jego samochodu.

Nie powinnam była tego robić. Trzeba było zakończyć to tam i wtedy. Przecież nie jestem głupia. Na desce rozdzielczej miał chomika z kołyszącą się głową... No, na litość boską! Mam szczęście, że mnie nie zamordował!

Przez całą drogę na wybrzeże wpatrywałam się intensywnie w jego twarz. Mogłabym przysiąc, że na zdjęciu profilowym był wysokim brunetem, tymczasem on...

Przeciąga dłońią po farbowanych blond włosach.

No właśnie.

Prawdopodobnie myśli, że wygląda uroczo, siedząc w ten sposób, taki swobodny i rozluźniony, trzymając dłonie pod

brodą. Na nieszczęście dla niego, w tym momencie bardziej pociąga mnie ciepły rumowo-maślany sos na moim ciastku.

Wzdycham i spoglądam nad jego ramieniem na bar, próbując złapać wzrok naszej znękaney kelnerki. Już wcześniej wymieniliśmy pełne współczucia spojrzenie, kiedy przyłapałyśmy go, jak zbyt długo wpatruje się w rąbek jej spódnicy.

Wydaje mi się, że to dlatego przyniosła mi ten kawałek alkoholowego ciasta z marakują, którego przecież nie zamawiałam.

Próbuję zmienić temat.

— Mówiłeś, że pracujesz w Ellicott City?

Kiwa głową, wsuwając do ust kolejny kęs steku. Przeżuwa przez chwilę z otwartymi ustami, po czym odpowiada, nie zadając sobie jednak trudu, by przełknąć. Efekt? Kawałki mięsa lecą w moją stronę wraz ze słowami. Marzę o ścian-ce z pleksy między nami.

Wysokiej na trzy metry.

— A tak. Tam mój ojciec prowadzi kancelarię prawniczą.

— I ty pracujesz z nim?

— No, przecież już ci to mówiłem, nie?

No dobrze. Znów zapada ta niezręczna cisza. On wbija widelec w swój stek, a ja przeciągam czubkiem widelczyka po grubej warstwie bitej śmietany. Wcześniej powiedział, że jest właścicielem kancelarii prawniczej zajmującej się organizacją prac pro publico bono w całym regionie środkowoatlantyckim. No cóż, jego kancelaria, kancelaria ojca — jeden pies.

Wzdycham i odkrawam sobie kolejny kawałek ciasta.

— Skąd jesteś? — pyta.

Z czeluści piekieł. Przysłana na powierzchnię po to, by zniszczyć mężczyzn, którzy kłamią w internecie i są wredni dla pracowników niskiego szczebla z branży usługowej.

— Annapolis — mówię zamiast tego.

Kusi mnie, by wstać, przejść między stolikami i wejść prosto do oceanu. To nieskończenie bardziej atrakcyjna opcja niż kolejna chwila z Bryce'em.

To już moja trzecia pierwsza randka w tym miesiącu i chyba jestem tym po prostu zmęczona. Zmęczona mężczyznami, którym się wydaje, że wszystko im się należy i do wszystkiego mają prawo, są cholernie małostkowi i w ogóle — rozczarowujący. Czym sobie zasłużyłam na tę klątwę, by mieć nieudaną randkę po nieudanej randce? Przecież uczciwie płacę podatki. Nie zostawiam kubelka po popcornie pod fotelem w kinie. Przestrzegam przepisów ruchu drogowego i przekazuję datki na organizację charytatywną opiekującą się trójnożnymi kozami, o której Beckett ciągle nawija.

Dlaczego nie mogę znaleźć ani jednego sensownego faceta? Ja naprawdę nie mam wysokich wymagań. Chcę tylko kogoś, kto będzie umiał mnie rozśmieszać. Kogoś, kogo obchodzi to, co robię, mówię i myślę. Chciałabym móc po prostu siedzieć z kimś na sofie w idealnej, błogiej ciszy — z pizzą na stoliku kawowym i stopami wsuniętymi pod jego udo. Marzy mi się ktoś, kto da mi stronę z przepisami, gdy sam będzie czytał artykuł w lokalnej gazecie. Chcę mieć kogoś, z kim będę mogła dzielić moje małe, głupie i milczące chwile.

Kogoś, przy kim będę miała motyle w brzuchu.

Spoglądam na Bryce'a, który kłamał chyba we wszystkim oprócz swojego imienia.

Dłubie paznokciem w zębach.

Może taki ktoś po prostu nie istnieje.

— Skończyłaś college?

W jego pytaniu nie ma cienia ciekawości; słyszę w nim jedynie zadowolenie z siebie i protekcyjność.

Znajome poczucie kompleksu odzywa się w tyle głowy, a żołądek ściska się mocno.

— Chodziłam do Salisbury.

Parska śmiechem, jakbym właśnie powiedziała jakiś świetny żart, po czym wyciąga swój widelec po kawałek mojego ciasta. Z trudem się powstrzymuję, żeby go nie odepchnąć. Dla mnie deser to ŚWIĘTOŚĆ.

— No tak, imprezowa szkoła. To ma sens.

Zaciskam zęby tak mocno, że aż się dziwię, że szkliwo się nie kruszy.

— Dlaczego?

— Cukiernicy nie muszą chodzić do poważnych szkół, prawda? Przecież dla ciebie nie ma chyba znaczenia, gdzie studiowałaś i co. Pewnie mogłabyś skończyć choćby szkołę cyrkową, a i tak mogłabyś piec swoje małe smakołyki przez cały dzień.

...szkoła cyrkowa...

...małe smakołyki...

O rany!

Potrzebuję sekundy, by się pozbierać. Kiedy odpowiadam, w moim głosie słychać wzburzenie i zmęczenie. Boże, jestem taka WYCZERPANA.

— Obroniłam podwójny dyplom z matematyki i inżynierii. Z wyróżnieniem. — Jakby to cokolwiek miało zmienić. — Jestem właścicielką małej cukierni i mogę się założyć, że w ciągu godziny robię więcej niż ty w ciągu całego dnia.

Krzywi się.

Odkładam widelczyk. Ten wieczór właśnie wskoczył na szczyt mojej listy „Najgorsze randki w życiu”, a konkurencja była spora.

Nie wierzę, że założyłam dziś moją zieloną sukienkę. Co za marnotrawstwo wspinałej kreacji.

— Myślę, że już pora, żebyś poprosił o rachunek.

Unosi obie dłonie w geście poddania i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

— Ojej, nie bądź taka delikatna. Przecież nie chciałem cię obrazić.

Ignoruję go i wsuwam do ust kolejny kęs kokosowego ciasta. Ten sos rumowy jest naprawdę zajebisty. Może gdy już to wszystko tutaj się skończy, wrócę i namówię szefa kuchni, by podzielił się swoim przepisem? Założę się, że będzie lepszym kompanem niż cały ten głupkowaty Bryce.

A tymczasem „cały ten głupkowaty Bryce” nie wykonuje żadnego gestu, który mógłby wskazywać, że chce poprosić o rachunek. Zrywam serwetę z kolan i rzucam ją na stół.

— Dobrze więc. Pójdę zapłacić rachunek przy barze.

Przewraca oczami.

— Właśnie miałem zamiar wstać. Naprawdę nie musisz być taka niemiała.

Och! A więc to ja jestem tutaj tą niemiałą osobą. No trudno.

Odsuwam krzesło, wstaję i kieruję się w stronę baru na skraju plaży. Zwykle nie jeżdżę tak daleko na randki, ale Bryce się upierał, aby przetestować ten nowy tiki bar na wybrzeżu. Nisko zawieszono girlandy ogrodowe. Kilka ognisk płonących w dużych, okrągłych misach. Stare beczki po winie i szum fal. Barmani stojący za małą łodzią wiosłową, która została przerobiona na bufet.

No cóż, byłoby nawet całkiem romantycznie, gdyby tylko gość, z którym tu przyjechałam, nie okazał się takim totalnym dupkiem.

Nasza kelnerka, Celia, czeka za barem z zaciśniętymi ustami, ale w jej oczach widzę życzliwość i wyrozumiałość. Wręcza mi rachunek, zanim zdążę o niego poprosić.

— Czy deser coś pomógł? — pyta.

Parskam śmiechem i otwieram rachunek.

— Tak, zdecydowanie. To była najlepsza część tego wieczoru.

— Mogę zaproponować jeszcze jedną porcję.

Kiedy kręcę głową, ona wydaje z siebie wymowne westchnienie.

— Nie powinnam nic mówić, ale ten facet to palant. Zaślugujesz na kogoś znacznie lepszego.

— Tak, trafna uwaga — wzdycham.

Niestety, na żadnym z płatnych portali randkowych, na których jestem zarejestrowana, nie natknęłam się jeszcze na nikogo takiego. Bryce wydawał się najlepszym strzałem.

— A wiesz może, gdzie takich szukać? — dopytuję z rezygnacją.

Celia wyciąga z tylnej kieszeni grubą szmatkę i zabiera się za polerowanie szklanek, ale jej spojrzenie wędruje gdzieś nad moim ramieniem. Jej oczy stają się szkliste, jakby spostrzegła tam coś naprawdę godnego uznania. Kiwa głową w tamtą stronę.

— Może tamten na początek?



ROZDZIAŁ 2

Layla

Kończę wypisywanie czeku i podążam za linią jej wzroku. Moje spojrzenie pada na mężczyznę lawirującego między stolikami ustawionymi na plaży.

To nie Bryce. Oczywiście, że nie! On jest tak samo wart zapamiętania jak papierek po gumie do żucia... zmięty i wciśnięty na dno mojej torebki.

Nie, facet, który się do nas zbliża, jest wysoki. Ponad metr osiemdziesiąt jak nic. Lśniąca skóra o wspaniałym brązowym odcieniu. Nie mogę dobrze przyjrzeć się jego twarzy, ponieważ ogląda się przez ramię. Patrzy na grupę osób, od której właśnie się oddala, i krzyczy coś do nich ze śmiechem. Ma na sobie kolorową hawajską koszulę, która powinna być śmieszna, ale przez rozpięte trzy górne guziki mogę skupić się tylko na jego obojczykach i rękawach przylegających do wypukłych bicepsów. Tkanina jest tam zbyt mocno naciągnięta, jakby miała trudności z zaprowadzeniem nad jego mięśniami.

Z roztargnieniem wpatruję się w tańczące ananasy na jego szerokiej klatce piersiowej. Wpatruję się w nie, a on podchodzi do baru, staje tuż obok mnie i kładzie dłonie płasko na blacie. Jego przedramiona się rozluźniają, a ja opieram się pokusie przeciągnięcia dłońmi po swoich policzkach.

Od kiedy to jestem tak zafascynowana męskimi PRZEDRAMIONAMI?

Je-zu!

— Poproszę jeszcze jedną piña coladę, jeśli to nie problem. Solenizant zaczyna mieć już lekko w czubie.

Celia spogląda na niego tak, jakby pragnęła mu dać coś więcej niż piña coladę. Przysuwam dłoń do ust, ukrywając uśmiech, i w końcu spoglądam na jego twarz. O mało nie krztuszę się z zaskoczenia.

— Caleb?

Tak, to Caleb Alvarez. Ten sam mężczyzna, którego widywałam co najmniej trzy razy w tygodniu od pięciu lat, ani razu nie myśląc wówczas o jego klatce piersiowej czy przedramionach. Zagląda do mnie w każdy poniedziałek, środę i piątek, zawsze zamawiając to samo: jednego croissanta i kawę. Ze śmietanką, bez cukru.

Caleb. Caleb TUTAJ, tak daleko od naszego małego miasteczka.

W barze na plaży.

W niemal nieprzyzwoicie rozpiętej hawajskiej koszuli.

Przekręca głowę w moją stronę, a jego oczy robią się okrągłe ze zdziwienia. Z fascynacją obserwuję, jak głęboki

brząz jego tęczyówek staje się cieplejszy, gdy mnie rozpoznaje. Nigdy w życiu nie zwracałam uwagi na kolor oczu tego człowieka. Zaskakuję samą siebie, przyglądając mu się tak intensywnie, jakbym widziała go po raz pierwszy w życiu. Włosy targane przez oceaniczną bryzę i ta ciepła, oliwkowa skóra...

Uśmiech unosi kącik jego ust, a ja muszę przełknąć ślinę.

Trzy razy z rzędu.

— Layla — mówi głosem wyrażającym słodkie połączenie zaskoczenia i zachwyty.

Zawsze wypowiada moje imię w ten sposób, ale tutaj brzmi to jakoś inaczej. Pewnie z powodu okoliczności... całej tej soli i piasku.

Zasycha mi w ustach.

— Hej, Caleb.

Wskazuję na jeden z ananasów otoczonych jaskrawopomarańczowymi kwiatami na jego klatce piersiowej. W głowie mam zupełną pustkę — jakby wszystko wyzerowały te trzy małe rozpięte guziki.

— Ładna koszula.

Kilka razy widziałam go w bluzie wyciętej pod szyją. W znoszonych džinsach i wysokich butach. T-shirtach latem. Nigdy... nigdy nie wywołał we mnie takiej... reakcji.

Przesuwa dłonią po rzędzie guzików, a na jego policzkach pojawia się delikatny róż.

— Ach, to. Alex nalegał.

Brodą wskazuje w stronę stolików. Podążam za jego spojrzeniem i dostrzegam Alexa Alvareza — cichego,

skromnego właściciela księgarni w naszym miasteczku — wykonującego właśnie jakąś pijacką wersję salsy z piękną rudowłosą dziewczyną. Oboje w równie przerażających hawajskich koszulach.

— To taka nasza mała tradycja. — Caleb próbuje się tłumaczyć.

— Właśnie widzę.

— Alex lubi wyraziste motywy. I spójne stroje.

To nawet ma sens. Wiem przecież, jak wyglądają witryny jego księgarni. Zawsze są odważne. W ostatnie Halloween po miasteczku krążyła nawet petycja dotycząca zbyt mocnej w przekazie interpretacji filmu *Rocky Horror Picture Show*.

Wracam spojrzeniem do koszuli Caleba.

— Właśnie widzę — powtarzam.

— I lubi, gdy cała jego rodzina wygląda jak banda idiotów — dodaje Caleb, zaciskając dłoń na kieliszku, który podsuwa mu Celia. Uśmiecha się do niej z wdzięcznością.

Obie wzdychamy jednocześnie.

— Co za zbieg okoliczności, no nie? — Opiera łokieć na blacie i uśmiecha się do mnie promiennie.

O rany... Tych dołków w policzkach też wcześniej nie dostrzegłam.

— Przecież tyle tu barów — dodaje.

— Tak — przyznaję.

Nadal jestem cholernie rozkojarzona. Mój mózg wciąż próbuje dopasować tę wersję Caleba, którą mam przed oczami, do tej, którą zbudowałam sobie w głowie. I... jakoś nie idzie to najlepiej.

Czyżby ta hawajska koszula rzuciła na mnie jakiś urok?

Na ułamek sekundy Caleb przenosi wzrok na moją zieloną sukienkę, jego uśmiech robi się szerszy, choć pozostaje równie szczerzy, co wcześniej, a delikatny róż na policzkach przechodzi w bogatą, rubinową czerwień.

— Pięknie wyglądasz.

— Dziękuję — udaje mi się odpowiedzieć i powstrzymać chrząknięcie.

Bryce chyba ani razu nie powiedział mi, że ładnie wyglądam — no może poza tą uwagą, że wyglądam lepiej, niż sądził na podstawie mojego zdjęcia profilowego. Co za beznadziejny komplement.

Przecież włożyłam mnóstwo wysiłku, żeby dobrze wyglądać tego wieczoru. Założyłam moją miętowozieloną sukienkę na cienkich ramiączkach, z rozcięciem z boku aż do uda. Chciałam wyglądać ładnie. Chciałam czuć się piękna i pożądana.

Tyle zmarnowanego trudu.

— Jesteś tu ze Stellą i Beckettem?

Przez chwilę bawię się, wyobrażając sobie Becketta, naszego zręczliwego farmera, marszczącego brwi i siedzącego z napojem kokosowym w dłoni. Ale to trwa tylko ułamek sekundy. Dotykam ramiączka mojej sukienki i wzdycham, spoglądając w stronę stolika, przy którym jeszcze chwilę temu siedziałam.

— Nie, jestem tu na randce. A właściwie to chyba lepszy byłby czas przeszły. BYŁAM tu na randce.

Bryce ulotnił się w międzyczasie. Nie ma go przy naszym stoliku... i mogłabym przysiąc, że brakuje też kilku sztuków. Oraz talerza z moim niedojedzonym deserem.

No co za dupek!

Caleb wygląda na zdezorientowanego.

— Eee, z samą sobą?

— Nie. Najwyraźniej z podłym gnojkiem, który objadł się i szybko uciekł.

Marszczę brwi, myśląc o czekającym mnie długim i niewątpliwie bardzo drogim powrocie Lyftem do Inglewild.

— Cholera! To on mnie tu przywiózł na kolację...

— I cię wystawił?

Twarz Caleba zmienia się w burzową chmurę. Zaciska szczęki i te urocze dołeczki znikają tak szybko, jak się pojawiły.

— Och, uwierz mi — mówię. — To nawet lepiej.

Nie wyobrażam sobie siedzenia w aucie Bryce'a podczas półgodzinnej jazdy z powrotem do Inglewild i wpatrywania w tę kiwającą się główkę na desce rozdzielczej. Pewnie puściłby Ace of Base. Albo — co gorsza — Nickelback.

— Nie powinien był cię zostawiać — mówi Caleb, wciąż wpatrując się w pusty stół.

Ma taką minę, jakby zamierzał pobiec na parking, dogonić złoczyńcę i wymierzyć mu sprawiedliwość.

Z jakiegoś powodu ta myśl nawet mi się podoba.

— Nie ma problemu. Wezwę Lyfta.

Odwracam się do Celii, która stoi tam, gdzie stała, przenosząc spojrzenie między mną a Calebem.

— Chyba poproszę jednak o jeszcze jedno ciastko. Na drogę.

— Zaczekaj — mówi Caleb, owijając swoje długie palce tuż nad moim łokciem.

Ściska raz, ale nie puszcza. Jego dotyk jest delikatny, a dłoń ciepła.

— Ja cię odwiozę.

— Nie, nie. Dziękuję. Poradzę sobie.

Spoglądam w stronę Alexa, który właśnie wszedł na stół ze swoją partnerką i próbują tam tańczyć. Oboje śmieją się tak bardzo, że z trudem stoją. Ich stół otoczony jest sporą grupką ludzi w hawajskich koszulach. W końcu dociera do mnie, że mam przed sobą całą rodzinę Alvarezów. Wuj Benjamin związał koszulę wysoko wokół talii w dziwny sposób, tak że przypomina ona teraz krótki top.

Uśmiecham się.

— Ty zresztą i tak nie możesz się stąd urwać. To przecież urodziny twojego brata.

Mrużę oczy, skupiając spojrzenie na ciemnowłosym mężczyźnie w kokosowym staniku na skraju ich małej grupki. Jest nieco wyższy od reszty.

— Czy to Charlie?

Caleb nawet nie patrzy w tamtą stronę.

— Tak, to on.

Patrzę, jak przyrodni brat Stelli kręci drinkami w obu dłoniach.

— Przyjechał specjalnie z Nowego Jorku?

— Znasz go. Nie przepuści żadnej imprezy.

Caleb nie spuszcza ze mnie wzroku, a jego dłoń nadal spoczywa na mojej ręce.

— A Alex nie będzie pamiętał zbyt wiele z tej imprezy. Zapewniam cię. Pozwól mi się odwieźć do domu.

— Ale jego drink...

— Zaniosę mu go i możemy jechać.

— A on jak wróci?

— Wynajęliśmy całego busa. Takiego imprezowego, pomalowanego w palmy...

No tak.

Caleb obrzuca mnie kolejnym dziwnym spojrzeniem, a jego policzki stają się niemal szkarłatne.

— On naprawdę uwielbia tropikalne motywy — mamrocząc zawstydzony pod nosem.

Zaciskam wargi, by powstrzymać uśmiech.

— Zamierzasz ukraść busa? — pytam.

— Co? A, nie, nie. — W jego oczach pojawiają się iskierki niepokoju. — Przyjechałem swoim samochodem.

— Nie lubisz muzyki Jimmy'ego Buffetta?

W odpowiedzi w kącikach jego ust pojawia się lekki uśmieszek.

— Wydaje mi się, że każdy trochę go nienawidzi — dodaje na głos.

— Z wyjątkiem Alexa — uzupełniam.

— Tak, oczywiście. Z wyjątkiem Alexa.

Jego uśmiech rozszerza się i jest teraz tak jasny i piękny, że muszę napomnieć samą siebie, żeby oddychać. Na jego policzkach znów pojawiają się dołeczki i dobrze, że

trzyma mnie za rękę, bo to bardzo przyjemne. Przesuwa kciukiem po mojej skórze — takim delikatnym, bezwiednym ruchem...

Caleb przechyla lekko głowę i kosmyk ciemnych włosów opada mu na czoło.

Z jakiegoś odległego zakamarka mojego umysłu dociera do mnie pytanie: *Co tu się do cholery dzieje?*

Kiedy Caleb Alvarez stał się takim „gorącym ciachem”?

— Jeśli jesteś pewien... — mruczę.

Ja już nie mam pewności odnośnie do niczego. Chyba w życiu nigdy nie byłam tak mało pewna czegokolwiek. Jaki jeszcze sekret Caleb trzyma w zanadrzu? Potrafi grać na harmonijce? A może on też ma na desce rozdzielczej figurkę jakiegoś dziwnego zwierzaka z kołyszającą się głową? Czy jest cholernie gorący, ale nie umie prowadzić? O Boże, a co, jeśli on jeździ W CISZY? Może nie znosi muzyki? Nie mam bladego pojęcia. Szczerze mówiąc, to w tym momencie zgodzę się na wszystko, aby pozwolić mu się odwieźć. Mój umysł jest zacadzony widokiem tych silnych bicepsów i koszulki z palmami.

— Jestem pewien — mówi zdecydowanym tonem. — Daj mi tylko sekundkę. Pogadam z Alexem i już idziemy.

Puszcza moją rękę i podnosi z baru kieliszek. Z ogromnym zainteresowaniem obserwuję, jak koszula napina się na jego klatce piersiowej. Mam wrażenie, że trafiłam do jakiejś alternatywnej rzeczywistości, w której miły, skromny i niepozorny facet przychodzący do mojej cukierni z niemal

wojskową regularnością nagle staje się zabójczym przystojniakiem w hawajskiej koszuli.

Caleb odchodzi, manewrując między stolikami. Jakimś cudem udaje mu się nie wyglądać śmiesznie w tej hawajskiej koszuli i z babskim drinkiem w dłoni. Odprowadzam go wzrokiem.

Podobnie jak wszystkie inne kobiety wokół. I kilku mężczyzn...

Celia gwizdże cicho. Cholera, całkiem zapomniałam, że wciąż tu stoi.

— Szybko działasz.

Drapię się po brwi i patrzę, jak Caleb próbuje na chwilę odciągnąć Alexa na bok. Alex robi unik, a Charlie wyrzuca w górę pięści.

— Mieszkamy w tym samym miasteczku. Znamy się.

— Och, ja też chciałabym go poznać — kelnerka mamrocze pod nosem.

Spoglądam na nią i unoszę wysoko obie brwi.

— Nie krępuj się. Nie stoję ci na przeszkodzie.

Macha dłonią.

— Eee. Nie skorzystam. Wyczuwam między wami odpowiednie wibracje.

— Coś ci się zdawało. To po prostu fajny facet.

Najfajniejszy. Prawdziwy džentelmen. Regularnie widzę, jak pomaga starszkom przejść przez ulicę. Każdego roku zgłasza się na ochotnika do pracy na farmie. To już tradycja, że mieszkańcy pomagają nam przygotować pola do nowego sezonu. I czasem się zastanawiam, czy naprawdę lubi

maślane croissanty, które regularnie zamawia, czy po prostu chce w ten sposób wspierać lokalny biznes. Stella kiedyś określiła go jako „osobę chronicznie uprzejmą”. To prawda. Zawsze ma czas, by pomóc mi w załadowaniu siedmiu worków cukru na tylną kanapę mojego hatchbacka.

A cztery miesiące temu Dane, szeryf naszego miasteczka, zwolnił go ze stanowiska zastępcy właśnie za to, że był „zbyt miły”. Z tego, co słyszałam, chodziło o to, że zbyt często przyjmował obietnice późniejszej zapłaty za mandat, zapisane na odwrocie starych rachunków. Słyszałam od Matty’ego z pizzerii, że niektóre z tych obietnic nie dotoczyły pieniędzy.

Od tamtej pory Caleb dorabiał sobie w szkole jako nauczyciel na zastępstwach.

Patrzę, jak wyraźnie wstawiony Alex próbuje pociągnąć starszego brata za sobą. Wszyscy przy stole mu kibicują. Uśmiecham się.

— Taki naprawdę fajny facet.

— Jasne, jasne.

Celia odstawia na bok szklankę, którą polerowała już od dobrych piętnastu minut. Bierze następną.

— Dam ci dwa kawałki na drogę — dodaje.

Calebowi w końcu udaje się ściągnąć Alexa ze stolika. Patrzę, jak stoją nachyleni do siebie. Caleb mówi coś bratu — coś, co sprawia, że ten się nagle rozpromienia, próbuje ponownie wspiąć się na stolik i przysłania sobie oczy dłonią, choć słońce zaszło już kilka godzin temu. Rozgląda się i szybko lokalizuje mnie przy barze.

Na mój widok drze się na całe gardło:

— LAAAAAAAAAYLA!

Caleb robi przerażoną minę.

Podchodzę do nich. Gdy jestem już blisko, Alex wykonuje spektakularny łabędzi skok z blatu stołu, lądując gdzieś w pobliżu moich stóp. Obejmuje mi nogi ramionami.

— Laylaaa — przeciąga ostatnią sylabę w całkiem udanej próbie podrobienia Erica Claptona. — Przyszłaś na moje urodziny!

Próbuję go podnieść, ale przeszkadza mi w tym góra mięśni, która nagle obejmuje nas oboje w niedźwiedzim uścisku. Charlie pachnie tak, jakby wylał na siebie całą półkę różnych alkoholi, a jego wielka twarz wciska się w moje ramię.

— Layla. — Brzmi to tak, jakby miał zamiar się za chwilę rozplakać. — Jak dobrze cię widzieć.

Przyciskam dłoń do jego czoła i odpycham go od siebie.

— Widzieliśmy się w zeszły weekend, ty brutalu.

Stella i jej chłopak Luka zjedli razem z nami kolację, dając mi wyjątkową przyjemność obserwowania, jak moi najlepsi przyjaciele się migdałą. Charlie wyszedł po piętnastu minutach, wymawiając się bólem brzucha, a ja zakończyłam tamten wieczór z najlepszym kawalerem, jakiego zdarzyło mi się poderwać od miesiący — dużą butelką Sauvignon Blanc i talerzem ciasteczek z masłem orzechowym, które sama upiekłam.

— A jednak — mówi niewyraźnie Charlie. Cofa się, a jego duże niebieskie oczy są okrągłe jak spodki. Ma na sobie

kokosowy stanik i kwiatek za uchem. Wygląda przezabawnie. — Chcesz drinka?

Alex ponownie wydaje z siebie wysoki pisk.

Drinki, drinki, drinki — skanduje teraz cała rodzina Alvarezów. Nagle czuję dwie silne dłonie na moich ramionach, delikatnie odciągające mnie od tych naprawdę nieźle już wstawionych, ale przy tym jakże sympatycznych ludzi.

— Może jednak nie powinniśmy byli się żegnać — mruczy Caleb.

Jeden z jego wujków próbuje wcisnąć mu w rękę mały kieliszek. Caleb się krzywi i kręci głową, po czym spogląda gdzieś ponad moim ramieniem.

— Jezu. Charlie całkiem już odleciał. Zachęca wszystkich, by spijali drinki z niego.

Absolutnie nie chcę tego widzieć.

— Wierzę ci na słowo.

— Słusznie. Chyba na nas już czas.

Wyciąga dłoń w moją stronę.

Podaję mu swoją i razem brniemy przez piasek w stronę parkingu.



ROZDZIAŁ 3

Layla

Na szczęście Caleb nie ma żadnych kiwających się główek na desce rozdzielczej swojego samochodu.

Jest tam za to jeden z tych sosnowych odświeżaczy powietrza z logo Lovelight, które Stella zaczęła sprzedawać kilka miesięcy temu. Stara gazeta zaklinowana między konsolą środkową a fotelem kierowcy. Pudełko z mojej cukierni, które próbuje ukryć, gdy tylko wsiadam do jego jeepa.

Wpatruję się w niego, gdy siada w fotelu kierowcy, regulując nawiewy tak, by dmuchały na moje nogi, a nie na twarz. Sprawdza lusterka wsteczne i boczne, a ja uśmiecham się mimowolnie. Oczywiście, że Caleb sprawdza lusterka za każdym razem, gdy wsiada do samochodu. Nawet jeśli to jego własny samochód. Założę się, że zna też wartość ciśnienia w oponach.

Mrużę oczy i uważnie mu się przyglądam, czując jakiś dziwny, narastający niepokój.

— Zmieniłeś fryzurę?

Zaskoczony przesuwa dłonią po włosach. Widzę, że jest skrępowany tym pytaniem.

— Nie.

— A może urosłeś? Na pewno nie jesteś wyższy?

Prycha.

— Od osiemnastego roku życia nie urosłem ani o włos. Spogląda na mnie, mrużąc oczy.

— Dlaczego pytasz?

— Miałeś operację nosa?

Robi urażoną minę.

— Nie.

— Wymiana stawu biodrowego?

Wybuchą śmiechem.

— Nie. Co cię opętało?

— Po prostu... Po prostu wydajesz się jakiś inny niż zwykle. To wszystko.

Gorętszy — dodaje mój umysł. Dziesięć na dziesięć w skali męskiej atrakcyjności. Przysięgam na moje bagietki z masłem i dżemem, że nigdy wcześniej nie widziałam Caleba wyglądającego tak... jak teraz. Może to jakieś przelotne zauroczenie z mojej strony. Coś w stylu: „och, jaki on jest słodki”.

Ale... Ale on nie jest po prostu słodki.

On jest cholernie pociągający.

I przyznaję, że jestem tym odkryciem naprawdę wstrząśnięta.

Rozsiadam się w fotelu, kątem oka patrząc, jak Caleb przygotowuje się do jazdy. Robi to z takim namaszczeniem, jakby miał za chwilę wystrzelić nas w kosmos.

To ta hawajska koszula.

Tak, to na pewno to.

— Jestem zdziwiona — wyrzucam z siebie nagle.

Caleb lustruje mnie niepewnym spojrzeniem, sprawdzając, czy mam zapięte pasy. W końcu rusza i wyjeżdża z parkingu. Wydaje mi się, że już żałuje swojej propozycji odwiezienia mnie do domu.

— Czym?

— Że nie chciałeś przejechać się imprezowym busem.

Parska cichym śmiechem. Caleb często się uśmiecha, ale śmiech jest rzadkością i na ten dźwięk zapadam się głębiej w fotelu. Jego śmiech jest... miły. I ciepły.

— Eee. Wszystkie te błyskające lampki przyprawiają mnie o ból głowy. Poza tym wyszedłem dziś późno ze szkoły. Nie zdążyłem się z nimi zabrać.

Wyczuwam w tym cień ironii.

— Jak ci idzie? Pytam o szkołę.

— Dobrze. To coś zupełnie innego. Dopiero się wdram. Miałem szczęście, że Katie Metzler zdecydowała się na tę podróż na Florida Keys w poszukiwaniu samej siebie.

Według mnie to dość dziwny wybór miejscówki, jak na taką wyprawę, ale okej.

— Dyrekcji bardzo zależało na znalezieniu nauczyciela hiszpańskiego na semestr letni i przymknęli oko na fakt, że mam praktycznie zerowe kwalifikacje. Dopiero teraz staram się o certyfikat. Mam nadzieję, że w przyszłym roku będą mogli przyjąć mnie na stałe. W sumie to świetnie wszystko się ułożyło.

Layla oficjalnie kończy z randkowaniem! Marzyła o romantycznych chwilach i motylach w brzuchu, a w zamian dostała do opłacenia kolejny rachunek w restauracji, bo jej partner zniknął tak szybko, jak się pojawił... Jakby tego było mało – prowadzenie uroczej cukierni w najbardziej romantycznym zakątku farmy w Inglewild zdecydowanie nie pomaga w porządkowaniu życia miłosnego.

Na szczęście z pomocą przychodzi Caleb Alvarez, nieśmiały nauczyciel lokalnego liceum i były zastępca szeryfa. Proponuje Layli miesiąc randek bez zobowiązań – on pomoże jej odzyskać wiarę w mężczyzn, a ona oceni jego umiejętności randkowania. Gwarantuje spotkania bez presji i przede wszystkim bez rozczarowań – to brzmi jak plan idealny! Układ schodzi jednak na dalszy plan, gdy do gry wkracza coś jeszcze: chemia! Chęć poddania się pokusie będzie silniejsza niż na widok najlepszych wypieków cukierni w Inglewild. Czy Caleb i Layla zdołają się sobie oprzeć?

Historia Layli i Caleba to trzeci tom serii *Lovelight Farms*, która zabiera czytelników w podróż przez urokliwe miasteczko Inglewild, pełne miłosnych zawirowań i niespodzianek.

W książce znajdują się opisy scen erotycznych.



ENDORFINA

ISBN 978-83-8231-347-5



9 788382 313475

MT2401E

Cena 54,90 zł



/WydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoendorfina



/wydawnictwoendorfina